

W STEPIE SZEROKIM...

HANNA KUCIEL

Rozległa dolina rzeki Barun-Bajan. W dolnym odcinku rzeka ma przebieg meandrujący. W zimie rzeka zamaraża aż do dna. Płaskie dno doliny wypełniają aluwia i stożki napływowe. Widać tu również charakterystyczne zalesienia na stokach północnych otrzymujących więcej wilgoci oraz pas krzewów, głównie wierzby i brzozy, rosnących wzdłuż rzeki
fot. Hanna Kuciel



W latach 1989 i 1990 uczestniczyłam w mongolsko-polskich ekspedycjach fizycznogeograficznych Chentej III do Mongolii. Wyprawy były organizowane od lat 70. w ramach współpracy naukowej między Polską Akademią Nauk a Akademią Nauk Mongolskiej Republiki Ludowej. W ich organizację zaangażowane były trzy placówki naukowe: Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN w Warszawie, Instytut Geografii i Zmarzlinoznawstwa Akademii Nauk MRL (Ułan Bator) i Zakład Ochrony Przyrody i Zasobów Naturalnych PAN w Krakowie. W latach 80. polskie badania w Mongolii uległy znacznemu ograniczeniu z powodów finansowych, co miało swoje przełożenie

na skromny skład grupy badawczej liczący zaledwie cztery osoby. Kierownikiem wyprawy (po mongolsku „Darga”) był prof. Kazimierz Klimek, ówczesny dyrektor Instytutu Ochrony Przyrody w Krakowie. Zakład Geomorfologii i Hydrologii Niżu IGiPZ PAN w Toruniu reprezentował prof. Ryszard Glazik, a Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN w Krakowie – prof. Roman Soja. Celem badań wyprawy Chentej III było poznanie zasobów wodnych w kontynentalnym, półsuchym klimacie Mongolii, w warunkach występowania zmarzliny i głębokiego, sezonowego przemarzania podłoża w dorzeczu przyszlęgo zbiornika na rzece Tole.



Krzew karagany. Latem step zamienia się w kwiatną łąkę. Rośnie tu w dużej ilości piołun, szarotka, sasanka, czosnek, rabarbar
fot. Hanna Kuciel

Poranne mgły nad Barun-Bajan. Na zdjęciu widać osuwający się brzeg na skutek erozji termicznej. Na wiosnę w rozmarzającym gruncie tworzą się szczeliny mrozowe, wzdłuż których grunt osuwa się podmywany przez rzekę
fot. Hanna Kuciel



Przeźren

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłam po przylocie do Mongolii, to wielkie przestrzenie. Po kilkudniowym pobycie w Ułan Bator wyruszyliśmy w górę rzeki Toły, kierując się na północny zachód ku góróm Chentej, aby założyć główną bazę wypadową w dolinie rzeki Barun-Bajan, dopływie Toły, na wysokości porównywalnej z naszą Halą Gąsienicową, czyli około 1500 m n.p.m. To jednak jedyny wspólny akcent, reszta była całkowicie odmienna – szerokość doliny sięgała bowiem około 30 km! Do najbliższej jurty dzielił nas dystans około 20 km. Płaskie dno doliny Barun-Bajan, porozcinane mniejszymi dolinkami

i porośnięte roślinnością stepową, otoczone było pasmem Chenteju (gór wyglądem przypominających nasze Beskidy) z najwyższym szczytem Asaraltu o wysokości 2751 m n.p.m., którego północne stoki były zalesione, głównie przez modrzew. W dnie doliny krzewy pojawiały się wzdłuż rzeki i tam, gdzie zbierała się wilgoć. Na stepie można było spotkać krzew karagany – charakterystyczny dla tej formacji roślinnej. Niezapomniany jest zapach stepu, przepełniony głównie aromatem piołunu, a czasem dymu unoszącego się z ogniska wędrowca. Ogromna przestrzeń dzięki przyrodzie, w ciągu dnia zmieniająca kolory w zależności od położenia słońca, z porannymi mgłami i zapachem wilgoci, powie-



W Ułan-Bator, Ż. Tserensodnom – dyrektor Instytutu Geografii i Zmarzlinoznawstwa Akademii Nauk MRL (Ułan Bator), prof. Kazimierz Klimek i autorka
fot. Roman Soja



W terenie autorka z Tuszyń-Bajarem. Wędrujemy w górę rzeki Barun-Bajan, aby dotrzeć w partię wierzchwinowe Chenteju
fot. Kazimierz Klimek



Popisy z umiejętności z jazdy konnej (na zdjęciu autorka)
fot. Kazimierz Klimek

Prof. K. Klimek z Tuszyń-Bajarem
fot. Hanna Kuciel



„Mapowanie” – praca zespołowa
prof. Roman Soja i prof. Ryszard Glazik
fot. Hanna Kuciel



W warunkach terenowych dokonywanie ablucji
fot. Kazimierz Klimek

wem wiatru dającym ochłodę od palących promieni słońca, z chmurami po krańce horyzontu, ta przestrzeń robi wielkie wrażenie! Doskonała widoczność na wiele kilometrów sprawia, że łatwo ulec złudzeniu bliskiej odległości. Dawało się to szczególnie odczuć przy powrocie do obozu-bazy po całym dniu spędzonym w terenie w spiekocie, z braku drzew i zarośli, które mogłyby dać odrobinę cienia, a lipcowe słońce paliło wyjątkowo niemiłosiernie. Bazę mieliśmy cały czas w zasięgu wzroku i wydawało się, że to tuż tuż, ale nic bardziej mylnego – dystans, jaki nas dzielił to aż kilkanaście kilometrów do przejścia po wertepach.



Przygotowywanie wieczornego posiłku po pracy (od lewej prof. Kazimierz Klimek, prof. Ryszard Glazik i prof. Roman Soja)
fot. Hanna Kuciel



Wieczorem po pracy w terenie. Od lewej prof. Roman Soja (w tym czasie dr), prof. Ryszard Glazik (w tym czasie dr) i prof. Kazimierz Klimek (U dołu) Chwila odpoczynku w terenie fot. Hanna Kuciel



Wieczorny posiłek. Do przygotowywania stawy niezbędna była widoczna na zdjęciu po lewej u dołu kuchnia mongolska, nazywana przez nas „argalnicą”, z racji używania do opadłu argału, czyli wysuszonych na słońcu odchodów bydła, chajnaków (krzyżówka jaka i bydła) czy jaków fot. Kazimierz Klimek



Czas

W Mongolii zaskoczyło mnie inne poczucie czasu. Czas tu płynie wolniej. Nie trzeba zegarka. Rano wraz ze wschodem słońca budzi się obóz. Rozpalamy ognisko – w obozowisku Mongołów ogień rozpala Tuszyn-Dżargał, u nas pierwszy ognisko rozpala Roman. Idziemy po wodę do rzeki i wszyscy przygotowują poranny posiłek – musi starczyć do wieczora. Potem odprawa i zespoły polsko-mongolskie wyruszają w teren. Do obozu trzeba zdążyć jeszcze przed zmrokiem, aby nazbierać trochę opału na przyrządzenie wieczornego posiłku i dokonać ablucji, bo woda w rzece przez dzień się nagrzała. Wieczna zmarzlina robi swoje, chociaż jest lato i wierzchnia warstwa gleby rozmraża do około metra. Nie trzeba lodówki, wystarczy wykopać w ocienionym miejscu jamę i zapasy typu konserwa mają tu odpowiednią temperaturę.

Wieczór na stepie ma swój urok. Nad głowami, na środku rozgwieżdżonego, ciemnogranatowego nieba widać wstęgę drogi mlecznej. Jest tak chłodno, że trzeba ubrać puchową kurtkę i zagrzać się przy ognisku. Tutaj ognisko stanowi centrum życia towarzyskiego. Z pobliskiej jurty przyjeżdżają w odwiedziny Araci. Ci mongolscy pastarze to przesympatyczni ludzie, uśmiechnięci i przyjaźnie nastawieni do każdego napotkanego człowieka. Oni się nie spieszą. Czas tu nie ma znaczenia. Znaczenie ma człowiek. Niewielka liczba ludności zamieszkująca mongolskie bezkresne tereny sprawia, że każde spotkanie z drugim człowiekiem jest okazją do rozmowy, wymiany informacji, do pobycia z drugim człowiekiem. Tu nie trzeba się umawiać na godzinę, jak w naszym cywilizowanym świecie, gdzie każdy żyje w pośpiechu i rzuca drugiemu przelatując zdawkowe „Dzień dobry”. To nie tak tu funkcjonuje. Takie



Życie w stepie. Araci prowadzą koczowniczy tryb życia. Do przemieszczania się po stepie służą im półdzikie konie mongolskie wywodzące się od konia Przewalskiego. Wgórach Chentej wypasają owce i chajniki. W zimie zwierzęta trzymane są w tzw. chaszanach – zagrodach zbudowanych z modrzewiowych bali. Jurta – przenośny dom Aratów. Szkielet drewniany, łatwy w rozbiórce i do transportu na telegach (wozy o dwóch kołach ciągnięte przez bydło, chajniki lub jaki), owinięty „kołdrami” z wołoku, którego wierzchnią warstwę stanowiło białe płótno. Całość opasana sznurami. U góry zostawiony otwór służący za okno i ciąg kominowy od „argalnicy”. Drzwi mongolskiej jurty są zawsze zwrócone na południe
fot. Hanna Kuciel



Upolowany przez Mongołów świstak przygotowany w sposób tradycyjny tzw. bodog (po odcięciu głowy i usunięciu wnętrza nakłada się do środka rozgrzane kamienie i opala z wierzchu „lutlampą”, następnie opieka się nad płomieniem z ogniska. Przed spożyciem kamienie są usuwane. Według wierzeń Aratów – przekazują pozytywną energię i chronią przed chorobami, dlatego takie nagrzane kamienie przed posiłkiem należy potrzymać chwilę w dłoniach. Na zdjęciu u góry Tuszyn-Dżargał oczyszcza z sierści tarbagana, a nasz kierowca opala lutlampą. Sierść tarbagana to siedlisko pcheł roznoszących dżumę. Opalenie pozwala skutecznie usunąć insekty. Na dolnym zdjęciu od lewej nasz kierowca, w kapeluszu prof. Kazimierz Klimek, z nożem Tuszyn-Bajar, obok niego prof. Ryszard Glazik i plecami odwrócony Tuszyn-Dżargał – trzymający w dłoniach kamienie, fot. Hanna Kuciel



spotkanie jest okazją do popisów z różnych umiejętności: jeździectwa, polowania czy śpiewu. Obiektem wspólnych polowań są tarbagany, czyli świstaki, których na stepie są tysiące. Wieczorem przy ognisku rozpoczynają się śpiewy. Szczególnie kobiety mongolskie wiodą w tym prym. Pamiętam jeden wyjątkowy wieczór, gdy przy naszym ognisku zasiadła Aratka, której wiek trudno było ocenić. Mogła mieć zarówno 40, jak i 50 czy 60 lat. Twarz była pomarszczona, natłuszczona lojem i spalona od słońca. Ubrana była w deli o perfumach wziętych z życia stepowego, łączących zapach dymu, potu i loju. Jej postać była bardzo drobna, szczupła, wręcz koścista. Ale jak zaśpiewała! Skąd taki mocny głos w tak wątlwym ciełe? To był śpiew niesamowity, przeszywający na wskroś, tak ostry, jak klimat

tych surowych gór. Słowa zawierały cały dramat walki życia i śmierci rozgrywający się na stepie. Niesamowite! Po niezwykłym występie Aratki przyszła kolej na nas. Byłam pod wielkim wrażeniem, nie bardzo widziałam, co zaśpiewać. Jakież było moje zdumienie, gdy przeciągającą się, nieznośną ciszę wyczekiwania ze strony Mongołów na naszą odpowiedź przerwał wysoki, bardzo donośny głos profesora Klimka intonujący znane słowa polskiej kolędy „Bóg się rodzi...” Natychmiast cała nasza trójka podjęła za Dargą śpiew kolędy w środku lata...

Hanna Kuciel
kuciel@iop.krakow.pl
Instytut Ochrony Przyrody PAN
al. Adama Mickiewicza 33, 31-120 Kraków

